XXII. Kraków, 15 grudnia 1919 r. Nr. 24

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.**

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



Cóż na gwiazdkę życzyć mamy?
Domyślą się młode damy,
Oto ptaszka z długim dziobem,
Byle tylko nie przed ślubem.
Lecz po ślubie — rzecz to znana,
Każda rada dla bociana!...

Historya Teatru Miejskiego w repertuarze.

Dziady.
Wczoraj jeszcze.
Powodzenie.

⊙ ⊙

Z ogłoszenia urzędowego.

...Dyrektor przyjmuje interesantów w dni powszednie między 11. a 12., o ile jednak nie przypada na który dzień niedziela, lub uroczyste święto.

⊙ ⊙

Ostateczność w miłości.

W miłości lubię ja ekstrema,
Nie taję tego, tem się szczycę,
Skrupułów żadnych u mnie niema
Połączyć sprzeczne dwie różnice.
To też nikogo tem nie zdziwię,
Że zawsze kocham się szczęśliwie!

Kochałem raz — jak marę we śnie
Blondynkę wiotką — wzór anioła,
Lecz w sercu była równocześnie
Brunetka hoża i wesoła!
A która była ideałem?
Ja nie wiem... w obu się kochałem!

Kochałem pannę salonową
(Faktycznie, podobała mi się),
A przy niej: z rozczochraną głową
Dragona istny typ: Marysię.
Widziałem w pierwszej istną chlubę,
U drugiej nogi bardzo grube!

Gdyby z rywalką swą rywalka
W bój o mnie poszły jak hijeny,
I przy mnie była taka walka
I jam był świadkiem takiej sceny,
To ułożyłem plan już sobie:
Po prostu w trąbę puszczę obie.

Pan Agapit w kłopocie.

W niektórych domach panuje zwyczaj, że po obiedzie podaje się gościom tak zwane „płukanki". Jest to naczynie z ciepłą wodą, zwykle z miętowym zapachem i miseczką, aby po wypłukaniu ust wypluć na nią wodę.

Pan Agapit był raz na proszonym obiedzie, po którym służba podała gościom owe „płukanki". Nie znając tego zwyczaju i nie wiedząc, co z tem począć, wypił ciepłą wodę, a gdy oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę, nie tracąc fantazyi, a nie wiedząc, dlaczego stał się przedmiotem ogólnej ciekawości, rzekł do służącego:

— Prosiłbym jeszcze o jedną porcyę! — poczem dodał półgłosem. — Wiecie państwo, że to całkiem smaczne!...

Pan poseł na przyjęciu.

Opowiadają, że pewien poseł ludowy, będąc raz w arystokratycznym domu, pluł w salonie na wszystkie strony, nic sobie z tego nie robiąc, czy na dywan, czy na podłogę.

Gospodarz kiwnął na służącego, a ten postawił koło posła na ziemi porcelanową spluwaczkę.

Za chwilę pan poseł spluwał znowu, ale w zupełnie przeciwnym kierunku, lokaj zaś przesunął w to miejsce spluwaczkę.

Widząc to, odzywa się pan poseł do służącego:

— Mój kochany!... Weź ten talerz, bo jeszcze na niego napluję!...

Znają się!...

W kawiarni opowiada pan Kohn panu Taubelesowi wrażenia ze swej ostatniej podróży do Wiednia.

— Byłem także u Spatzów... — mówi. — Ty ich potrzebujesz znać! Oni są z Krakowa, wyjechali do Wiednia na początku wojny. Jakie on tam robi interesy, to ty nie masz nawet pojęcia!... Spatz zaprosił mnie na kolacyę do siebie... Była ryba, była gęsina, a wino takie, że może i sam cesarz lepszego nie pije!... A zastawa?... Łyżki, noże i widelce z prawdziwego srebra!

— Pokaż! — odzywa się na to Taubeles.

Obowiązkowa.

Stara to historya,
Lecz wciąż się powtarza,
Pierwszego trza płacić
Czynsz dla gospodarza.

W dniu tym pannie Fifi
(Co to za ambaras!)
Melduje służąca
Dwie wizyty naraz.

Pan Alfred — kochanek,
Czeka długo na nią,
I gospodarz domu
Chce się widzieć z panią.

Fifi pomyślała
Zdejmując podwiązki,
Że potem przyjemność,
A wprzód obowiązki.

I do pokojówki
Tę myśl tak wyraża:
„Daj mi czyste majtki
I proś gospodarza!"

⊙ ⊙

Nie dał się.

Na stanowisku fijakrów w Rynku, rozmawia kilku „dryndziarzy" o wypadkach politycznych i o tem, że dziś wódka u Maurizia nie jest tak dobra, choć kosztuje trzy korony, jak dawniej za „trzy nowe" u Barberowskiego.

Nadchodzi facet, aby siąść do dryndy.

W tej samej chwili kobyła podnosi ogon i uwalnia się od ciężaru, który mógłby jej utrudniać podróż.

Facet, chcąc sobie zażartować, pyta woźnicę:

— A cóż to „turecki przedni", czy „koński zadni"?... Ciekawy jestem po jakiej cenie.

A fijakier podnosząc spokojnie ogon kobyły rzecze gościowi:

— Ja tam nie wiem, bo jestem niepalący!... Ale niech dobrodziej pofatyguje się do sklepu!...

I tem mu zamknął buzię...

Wieczór wigilijny.

(Obrazek z życia).

Pan Karol otrzymał od swego przyjaciela, pana Jana, list następującej treści:

„Kochany Lolu!

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, które chciałbym bardzo, abyś spędził w gronie mojej rodziny i odetchnął świeżem, zimowem, wiejskiem powietrzem, co Ci pozwoli zapomnieć o troskach i kłopotach, na jakie Wy, mieszczuchy, jesteście zwłaszcza teraz narażeni. Weź urlop czternastodniowy i przyjeżdżaj, a nie pożałujesz! Sanna, polowanie, a dziewuszki, powiadam Ci, palce lizać! A wiem, że Ty to lubisz! Zatelegrafuj kiedy wysłać konie na stacyę.

Ściskam Cię

Jan".

Przeczytał, schował list i zaraz nazajutrz rozpoczął przygotowania do podróży, a w tydzień potem był już w Koziej Wólce, majętności państwa Janów, gdzie go przyjęto z prawdziwie staropolską, przedwojenną gościnnością.

Obydwoje gospodarstwo prześcigali się w dogadzaniu gościowi, a pani Janowa oświadczyła zaraz na wstępie, że przez te dni czternaście tak go podpasie, iż nie poznają go potem w Krakowie.

Nie przedstawiało to zaś żadnych trudności, niczego tu bowiem nie brakowało, czego tylko dusza może zapragnąć i... żołądek, a ciągły pobyt na świeżem powietrzu, ruch i swoboda tak wpłynęły dodatnio na apetyt pana Karola, iż choć ciągle mówił, że się sam siebie wstydzi, ale jadł aż mu się uszy trzęsły, aby nadrobić to co zaniedbał.

Tu wojny znać nie było! Miało się i białe bułeczki z świeżem masłem i mięso i drób i wyborną kawę, a w mleku to się można było poprostu kąpać!... Do tego serdeczny przyjaciel pan Jan, miła nad wyraz pani Janowa, dzieci niekrzykliwe, teściowej brak!... Służba, zwłaszcza żeńska, jak gdyby dobrana, brzydkiej i starej twarzy ani na lekarstwo. Słowem, żyć tu i nie umierać!

Co dzień, już o świcie, budził pan Jan przyjaciela i zabierał go ze sobą do obory na mleko prosto od krowy. Z początku nie bardzo mu się to podobało, gdyż przyzwyczajony był do długiego wylegiwania się, lecz cóż było robić! Pogodził się z losem, ale tego nie żałował, bo i tu same ładne dziewczęta. Jedna tylko, stara Teresa, brzydka i kulawa. Widocznie pani Janowa nie była zazdrosną i ufała swemu mężowi.

Trzeciego dnia pan Karol czuł się już w oborze jak w domu i zachodził tam coraz częściej, zwłaszcza, że wpadła mu w oko Kasia, dziewucha jak malowanie!... Mleko z jej rąk najbardziej mu smakowało, bardzo też chętnie z nią dyskutował na temat wiejskich stosunków, poznał nawet różne szczegóły z jej życia, dowiedział się mimochodem, że sypia na strychu nad oborą, aby być na miejscu, gdyby się coś stało.

Pan Jan pokpiwał sobie z mieszczucha, że mu głowę zawróciła wiejska piękność, a on tłumaczył się:

— Wiesz chyba najlepiej, że byłem zawsze zdeklarowanym ludowcem!... W ludzie widzę nasze odrodzenie.

— Tylko, mój drogi, nie myśl przypadkiem o jego rozrodzeniu — przerwał śmiejąc się pan Jan. — Ty sobie pojedziesz, a ja potem będę miał z tego powodu kłopoty...

— No, no!... Nie obawiaj się...

— Owszem, boję się, bo wiem, że ludowcy są zdolni do największych poświęceń, o ile rozchodzi się o lud.

I obaj roześmiali się serdecznie, śmiała się i Kasia, choć nie wiedziała, że to o niej mowa.

Nadszedł dzień wigilijny. Od samego rana ruch w domu i bieganie z kąta w kąt. Pani Janowa była niewidzialna, zajęta w kuchni przygotowaniami, pan Jan zaraz po śniadaniu wyciągnął gościa na polowanie. Karol chciał starym myśliwskim obyczajem szukać szczęścia u Kasi i w tym celu przed wyjazdem pobiegł do obory, niestety, nie była samą. Rznęła dla krów sieczkę z fornalem Kubą, który się „miał ku niej" i zaczynał już krzywo patrzeć na „ciaracha", coś za często zaglądającego do obory.

Pan Karol odszedł z niczem i uważał to za zły omen. I miał racyę!... Do zająca spudłował, pan Jan sobie z niego podrwiwał, że pewnie wolałby siedzieć w stajni i wpatrywać się w oczy Kasi, niż włóczyć się po śniegu i grudzie. Nie odpowiedział nic, bo i cóż było mówić.

Wieczorem wigilia, prawdziwie staropolska, obfita i smaczna, podlana wybornym węgrzynem, wydobytym z piwnicy na przyjęcie kochanego gościa... I w czeladnej kuchni bardzo wesoło. Udali się tam obydwoje państwo Janowie i pan Karol i łamali się opłatkiem z domownikami, wymieniając życzenia. Najserdeczniej życzył pan Karol naturalnie Kasi.

Po powrocie do pokoju, kolendy koło rzęsiście oświetlonego drzewka i miła pogawędka w oczekiwaniu pasterki, na którą, jak zresztą co roku, wybierali się państwo Janowie, zapraszając i gościa, ale on nie mógł się jakoś zdecydować.

Rozmowa zeszła na stare zwyczaje i obyczaje wigilijne, na przesądy i legendy, osnute na ten temat.

— Wie pan, panie Karolu — mówiła pani Janowa — lud nasz twierdzi, że w noc Bożego Narodzenia, to jest dzisiaj, raz w roku bydło ze sobą rozmawia na pamiątkę, że przy urodzeniu Chrystusa był osioł i wół.

— To bajki! — śmiał się pan Karol.

— Nie, panie!... To nie bajki! Ja w to wierzę.

— A słyszał kto tę rozmowę?

— Opowiadają, że raz pewien gospodarz chciał się przekonać czy to prawda i schował się na noc pod żłób w stajni. Gdy nadeszła

Złośliwe szarady.

I.

Zgaduj pan
Zgłoski licz:
Pierwsze: *Wan*
Drugie: *Dycz*,
A w całości
Dla „Nowości"
Jest atrakcyą publiczności.
Jej głos silny, pełen dźwięku,
Lecz silniejsza jeszcze w ręku!

II.

Że na opak wszystko w świecie,
Więc zacznijmy rzecz od końca:
Uważajcie: *czwarte, trzecie*
Piękna wyspa, pełna słońca,
Czwarte, drugie — jest z konopi
Boli, gdy kto kogo kropi.
Trzecie, czwarte, drugie przy tem
Jest między górami skrytem,
Pierwsza, druga, trzecia, czwarta
Kiedy tańczy widzieć warta,
Zbiera kwiaty i oklaski
Ta artystka z Bożej łaski.

III.

Płeć i nazwisko zmnienia litera:
L — świetny komik, co laury zbiera,
R — to subretka ładna i miła
W „*Białych fartuszkach*" już się wybiła
W trzech zgłoskach mieszczą nazwiska [swoje,
Teatr Powszechny ma ich oboje!

Racya.

— Które z małżeństw, znanych z historyi, uważasz za najszczęśliwsze?

— Adama i Ewę...

— A to dlaczego?...

— Bo nie było teściowej!...

Edukowana córka.

Panna Kazia, córka pana Tomasza, obywatela miasta Krakowa i mistrza sławetnego cechu szewskiego, miała narzeczonego, pana Franciszka, pomocnika handlowego.

Panna Kazia lubiła pasyami surową marchewkę, pan Franiszek przynosił też bardzo często swej bogdance także i te specyały, zwłaszcza, że go to nic nie kosztowało, gdyż mógł się w nie zaopatrzyć w kuchni swego pryncypała.

Pewnego popołudnia, gdy młodzi zabawiali się rozmową w saloniku, odzywa się pan Franciszek do Kazi:

— A ja pannie Kazi przyniosłem coś dobrego!

— Pewnie marchewkę! — odpowiedziała.

— Nie wiem!... Ale proszę sięgnąć do mej kieszeni, a przekona się pani...

I wskazał jej kieszeń, ale nie w surducie, ani w kamizelce...

Panna Kazia sięgnęła tam ręką, ale odskoczyła, jak oparzona.

— Pfe!... Jakże można!... Pan Franciszek jest z przeproszeniem świnia!... Ja to powiem tacie! — wołała z rumieńcem oburzenia i zniknęła w sąsiednim pokoju, skąd po chwili wróciła w towarzystwie swego rodziciela.

Pan Tomasz poprawił okulary, spojrzał z podełba na winowajcę i rzekł poważnie:

— Mój panie!... Na takie zbereżeństwo nie pozwolę pod mym dachem!... W uczciwym obywatelskim domu tak się nie postępuje!...

— Ależ proszę pana — tłumaczył się pan Franciszek — to była marchewka...

— Ładna mi marchewka! — przerwała panna Kazia z irytacyą.

— Kazi wierzę, co mi powie! — zakonkludował pan Tomasz. — To jest edukowana dziewczyna!... Skończyła sześć klas gimnazyalnych i potrafi poznać, co jest marchewka, a co...

Gniew nie pozwalał mu dokończyć, trzasnął drzwiami i wyszedł...

⊙ ⊙

Nasze dzieci.

— Maniusiu!... To nieładnie!... Nie kładzie się paluszka do nosa!... Tak nie robią dobrze wychowane panienki...

— A gdzie się go kładzie, proszę mamy?...

* * *

Jeżeli deszcz pada
To każda staranna,
Rada czy nie rada,
Wznosi suknie panna.

W pogodę po trochu
I to im na rękę,
Bo każda od prochu
Ochrania sukienkę.

A wichru fantazya
Gdy robi znów zbytki,
Jest znowu okazya
Sprezentować łydki!

Zgadł!

Na wykładzie chirurgii przedstawia profesor chorego, cierpiącego na raka na wardze i zwraca uwagę, że z czemś podobnem można się spotkać najczęściej u naszych górali, którzy przez dzień cały fajki z ust nie wyjmują, ostry jej sok drażni wargę i wywołuje powstanie nowotworu.

Zapamiętał sobie to dokładnie jeden ze słuchaczy, pan Kohn.

Zdarzyło się, że w kilka tygodni potem wzywa go profesor do zbadania chorego.

Zbadał go i stawia dyagnozę:

— To jest rak w kiszce odchodowej!

— Zupełna racya! — profesor na to — A jaka, według pańskiego zdania, może być przyczyna wywołująca?

A Kohn z przekonaniem:

— On musiał palić fajkę!...

⊙ ⊙

Z podsłuchanych rozmów.

— O!... Ja, proszę pani, jestem, niczem ów biblijny Tomasz!... Nie uwierzę, póki palca nie włożę...

— Pfe!... Jak można być tak nieprzyzwoitym... Przecież chyba nie tu i nie zaraz, bo ludzie na nas patrzą!...

---

północ, słyszy jakieś głosy i przekonuje się, że to jego woły ze sobą rozmawiają. Skóra na nim ścierpła ze strachu, a już nie miało granic przerażenie, gdy jeden wół odezwał się do drugiego: „Wiesz, towarzyszu, że my tego roku jeszcze przed żniwami wywieziemy naszego gospodarza na cmentarz!..." I co pan powie, spełniło się co do joty! Odtąd nikt już nie robi podobnych doświadczeń, bojąc się, by nie usłyszeć czegoś podobnego.

Ona mówiła z przejęciem, on uśmiechał się drwiąco.

— A ja pokażę — rzekł z pewnością siebie — że się nie boję. Państwo pojedziecie do kościoła, a ja pójdę do obory i przekonam się!... Ale może to tylko woły rozmawiają, a krowy nie?

— Rodzaj żeński jest zawsze gadatliwszy! — dorzucił pan Jan, domyślając się, że panu Karolowi nie tyle ta rozmowa w głowie, co Kasia. Chce przygód na wsi, niech ich szuka, on mu nie przeszkodzi, aby potem nie narzekał, że jest tym brysiem, co to sam siana nie zjadł, a koniowi ruszyć nie pozwolił.

Stało się też, jak sobie pan Karol życzył, Państwo Janowie pojechali na pasterkę, on chyłkiem pomknął ku oborze.

Gdy się tam znalazł, ani mu się nie śniło nadsłuchiwać co krowy sobie powiedzą, gdyż w takie brednie nie wierzył, ale, znając już dokładnie plan sytuacyjny, wydrapał się po drabinie na stryszek, gdzie, jak się sama przyznała, miała Kasia swą „sypialnię".

Ciemno, choć oko wykol, a tu ani myśleć o zapałce, aby nie wzniecić pożaru. Żałował, że się nie zaopatrzył w latarkę elektryczną i obiecywał sobie, że o tem na przyszłość nie zapomni.

Szedł po omacku, potykając się co krok. Nagle z kąta dochodzi go ciężki oddech kogoś śpiącego.

— To Kasia! — powiedział do siebie — Śpi biedaczka, zmęczona całodzienną ciężką pracą... Boć to nie fraszka rznąć z Kubą kilka godzin sieczkę. Ciekawym, czy podołałaby temu któraś z naszych pań miastowych.

I posunął ostro w tym kierunku...

Nie był kotem, ręce więc musiały zastąpić oczy.

I przy ich pomocy przekonał się, że na tapczanie spi snem sprawiedliwych jakaś niewiasta. Któżby inny, jak nie Kasia?...

Tego rodzaju wycieczki to dla pana Karola nie pierwszyzna. Nieraz już w mieście był w podobnem położeniu, zastosował więc tę samą taktykę i tutaj. A polegała ona na zasadzie: „Mało mów, prędko czyń!..."

Jak tam było i co tam było, to pokrywa tajemnica nocy, ale to pewne, że gdyby się był w tej chwili znalazł w stajni jakiś zuch, chcący się przekonać o prawdziwości legendy, mógłby przysiądz, że słyszał nietylko szepty, ale i odgłos pocałunków...

— — — — — — — — — — — —

Dobrze już po pierwszej wracał pan Karol do domu popростu rozanielony i mówił do siebie:

— To jednak prawdziwa rozkosz, znaleźć się obok takiej rusałki!... To prawdziwa sielanka!... A co za wzruszająca uległość!.. Ani cienia oporu... Jeszcze na pożegnanie pocałowała mnie w rękę!... O!... Tej nocy długo nie zapomnę!... A zdawało mi się, że mam dziś pecha!...

Znalazłszy się w pokoju, napił się węgrzyna, zapalił papierosa i rojąc złote sny, czekał na powrót gospodarstwa...

Wrócili koło drugiej, zmarznięci i zmęczeni, zasiedli też zaraz do stołu, by się ogrzać i pokrzepić.

— No i o czemże tam rozmawiały krowy? — żartowała pani Janowa.

— Opowiadały sobie — odrzekł z galanteryą — jaką to zacną mają panią, która tak dba o to by im nic nie brakło.

— Ale żałuj — przerwał pan Jan — że nie pojechałeś z nami. Byłbyś słyszał, jak Kasia kolendowała!... Aż się trzęsły ściany kościoła!

— Kasia? — zapytał z niedowierzaniem.

— Tak! Wróciła z nami. W domu nie został nikt, prócz ciebie i starej, kulawej Tereski. Prawda! Był i stróż nocny, ale on pewnie spi gdzie w kącie, bo się strąbił.

Panu Karolowi zrobiło się jakoś niewyraźne, choć sądził, że Jan z niego żartuje.

— I seryo była Kasia z państwem w kościele? — wyrwało mu się, jak gdyby do tego jaką przywiązywał wagę.

— Tak! — odpowiedziała tym razem pani Janowa, gdyż małżonek smacznie coś zajadał — Zaraz się pan o tem przekona, gdyż przyniesie ze sanek koce, którymi okryliśmy sobie nogi.

I w samej rzeczy weszła do pokoju Kasia, jeszcze apetyczniejsza niż zwykle, gdyż mróz wyszczypał jej policzki.

— A zatem? — pomyślał pan Karol rozdrażniony, a przed oczyma przemknęła mu sylwetka starej, kulawej Tereski.

— — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień oświadczył pan Karol, że musi wracać. Nie pomogły prośby i perswazye, uparł się, a na upór niema lekarstwa.

Co go do tego skłoniło, nad tem zachodzili w głowę obydwoje gospodarstwo, nie dowiedzieli się jednak. Bo i któż miał im powiedzieć?

A stara Tereska chodziła jakaś rozradowana, tak, że się nawet i młodszą i nie tak brzydką wydawała i powtarzała do siebie:

— Pan Bóg ma w opiece i biedną sierotę!... Dawno już nie byłam taka szczęśliwa, jak w ten wieczór świętej wigilii...





— Moja żona wyjechała na jakiś czas. Pani, jako jej przyjaciółka, powinnaś ją wyręczyć, zastąpić.

— Wyręczyć mogę, ale zastąpić nie chcę!



— Posyłam ci tysiąc całusów. Bądź tak dobry i wymień mi je nie na korony, lecz na marki!...



— Gdy odjadę opiekuj się moim mężem.

— Bądź spokojna!.. Postaram się by nie odczuł twojego braku!



— Radbym wiedzieć o czem też pani teraz myśli?

— Jak pan możesz pytać o takie nieprzyzwoite rzeczy!...



Pokojówka: Podwiązka z lewej nogi jest potargana!...
Pani: Bo też po lewej stronie siedział przy mnie pan Artur przy kolacyi!



On: Jakżeż szczęśliwym się czuję posiadając ciebie! Ach! Zosiu, czy będziesz mi wierną?
Ona: Jeszcze przez cały miesiąc, bo pierwszego mój mąż przyjeżdża!



— Czegóż on chce? Nie mogłaś mu powiedzieć, że jestem w kąpieli.
— Powiedziałam, ale ten pan nie chce wierzyć.
— Nie chce wierzyć? A więc niech przyjdzie i przekona się!



Noc poślubna.

Oblubienica: Proszę pana zgasić przynajmniej lampę. Nie znoszę widoku mężczyzny bez krawatki!

Ferdek Eleuteryk.



Już to musimy być sobie powiadający, że nimómy niajakiego szczyńścia, a wszyćko tak nom sie wiedzie, jak cyganowi praca na roli, a panu Paderewskiemu starania o wschodniom Galicyją, któróm jo, gdybym był na jigo mijscu, chentnie odstompiłbym razem z Petlurą, Petruszewiczem, Gontom i Zeleźniokiem, pierwszymu lepszymu nawet z dopłatą, aby se jom ino zabroł!

Jeżeli nom Lord Drożdż do jom bez zastrzeżyń, to bedziemy mieć tam furt kłopoty, nie godając już o tym, że oddanie nom jij ino w arende na lat dwadzieścia, to taki głupi projekt, że na wymyślenie nie trza mininisteryjalnyj makówy, ale wystarczy jakiś czerep, chocby z domowym wykształcyniem.

Ale nie o to mi sie rozłazi... Nowygo pecha widzoncy jestem gdzieindzij i to bardzo daleko, bo aż na słońcu!... Som różne hrabie, co majom swoje dobra na księżycu, jo mom mojigo pecha na słońcu!

Ale on tam nie zawdy siedzioł!... Skiś sakramencki poknajoł tam dopiro niedawno, bo przódzi, na samym poczontku wojny był na polu chwały i o mały figiel nie ułatwił mi przeniesinia się na łono ojca Abrahama.

Sposobność była dana, aby położyć makówe na polu chwały i ochwiarować swe życie dla dobra i zbawinio cys. król. ojczyzny, ale właśnie z powodu owygo pecha, nimiołem do tygo sposobności. Choć się parę kilka razy byłem do musterunku zgłaszający, zawdy mi pedziano, co jestem nuferma i nima dlo mnie placu.

— Ano, nima. — pomyślołem se i byłem z tygo pecha nawet kontentny, bo to nie jest nijako przyjimność, jak tako kula z przeproszyniem z grubyj Berty gwizdnie człeka w oficyny, abo innom równie delikatnom czyńść ciała, rozedrze go na kawołki i to tak, że nima co zbirać i nawet potym banda nie zagro na pożygnanie.

I, gdy sie wojna skończyła, cieszyłem sie, że mom pecha, co mi nie pozwolił znaliźć bohaterskij śmierci na polu chwały, bo nie byłem wiedzoncy, że ten pech wlezie mi potym do kantyny i tam bedzie wierciuł, a nie bedzie czym go uspokoić.

A są na niego dwie rady: abo mu gembe zatkać żarciem, abo go utopić w trunkowości, o ile sie nie był pływać nauczajoncy. A tako pływajonco cholera to sie ino śmieje z bidnygo człowieka.

Czy mój pech, który siedzi w kantynie, czyli w maćku, umi pływać, tego nie wiem, bo nie byłem go utopić próbujący, jako iż nie było w czem!... Gorzyj, że nimógłem mu jadaczki być żarciem zatykający i skróś tygo maciek mruczoł, a kichy grały takigo trauermarsza, aż się płakać chciało, a z gzymsu ciekło, niczym z zepsutygo wodociągu.

Jednym słowem, nie było co żryć, ani pić, ani przy czym sie ogrzać, choć różne sufragany gwarzyły, że sie to w mig poprawi, ino czekać cierpliwie.

I czekało sie, a kużdy se kalkulowoł, że skoro go ominena zaszczytno śmierć na polu chwały na wojnie, to czeko go, jako cywila, śmierć z głodu.

A wielu było takich, co se to tak przybrali do makówy, że są dziś już na Rakowicach.

Ci zaś, którzy ostali i jo z nimi, cyenelimy se na kuraż i pedzieli sobie, że skoro nam pech wojenny zrobił... guzik, i żołądkowy tyż drugi guzik, to nam już i dyabeł nie da rady.

Ale nikt nie był nawet przypuszczający, że ten pech doł nura z maćka i jest już na słońcu!... Którędy dał nura, nie wiem, ale że go tam nima to pewne, bo już aprowizacyjnych dolegliwości nikt nie czuje, ale ino furt w słońce jest kapowidła wtykający, bo na niem zrobiła sie dziura, jak na mojij zoli i w tom dziure mo ziemia wlecieć mindzy siedymnastym a dwudziestym grudniem, niczym piłka nożno w bramke przeciwnika.

Zatym mom racyje, jeśli grypsom, że pech teroz siedzi na tem dziurawem słońcu i czeko ino na owo zderzynie marsowo-weneryczne, skróś którygo ziemia się pewnygo rana znajdzie w onyj słonecznyj dziurze, a my sie na jij dnie obudzimy nieboszczykami!

Czy sie nom udo wymigać i z tych tarapatów, tygo nie wim, ale se myśle, że ten trzeci pech to może od tamtych gorsiejszy i trudnij bedzie sie wymigać.

To byłby kuniec świata. Na wszelki wypadek byłem testament robioncy i zapisałem nieruchomości przyjaciołom (ruchomości już dawno wyzdychały od zacherlinu!...) i radze kuździmu z P. T. Czytelników aby taksamo był robioncy, al owiem nie nikt nie wi, jako stoi w Piśmie świntym, ani dnia ani godziny, ani wedle jakigo czasu... Zatym, jeśli bedzie kuniec świata, nie bedziemy sie opłatkami na wigilijom łamioncy, wobec czygo i jo nie winszuje nikomu „Wesołych Świont“, bo ładnie one bedom wesołe w jakijś dziurze. Wprawdzie to dziura słoneczno, ale co dziura, to dziura... Wyjść z nij na wolność to frajda, wracać z powrotem, to nie żoden jenteres...

To mie pocieszo, że może pecha mioł ten meksykański gawer, co kuniec świata był przepowiadajoncy i pomylił sie...

Byłoby to najlepij!... Za kilka dni zobaczymy!...



Różne typy.

I.

Ze spojrzeniem cherubinka
Kształtami Junony,
Zawsze nęci mnie blondynka
Typ mój ulubiony.

Zawodowa bałamutka,
Figlarna jak kotek —
A ponętna i pulchniutka,
W sam raz do pieszczotek!

Wprost cię zmusza do kochania
Uśmiech jej i minka,
To też według mego zdania
Nie ma jak blondynka!

II.

A brunetka z czarnem okiem,
O jakiem w snach marzysz,
Wpływa na mnie swym urokiem,
Jak opium lub haszysz!

Czasem ma w spojrzeniu wzgardę,
Czasem lubi zbytki —
Mieć powinna zawsze twarde
Piersi, jak i łydki!

Któż miłości jej rozkosze
Pojmie i wypowie?
I dlatego okrzyk wznoszę
Za brunetek zdrowie!

III.

Gdym z tamtemi skończył wprzódy
Moje doświadczenia,
To poszedłem znów do rudej
Uczyć się kochania.

Źle nie było mi z tą zmianą,
Bo za wspólną zgodą,
Kocha mnie kombinowaną
Z tamtych dwóch metodą!

Nie za zimno — nie namiętnie
Wszystko jej się uda —
To też wołam równie chętnie:
„Niechaj żyje ruda!..“

Ze wschodniej Galicyi.

Wąską, polną drogą jechały naprzeciw siebie dwie fury. Na jednej z nich siedział sędzia, jadący na komisyę, na drugiej ruski pop, wracający z jarmarku.

Aby się wyminąć, trzeba było zjechać jednemu do rowu, co było połączone z pewnem niebezpieczeństwem. Żaden też z woźniców nie miał do tego ochoty.

Początkowo przemawiali do siebie po przyjacielsku, potem zaczęli się kłócić i wygrażać sobie batami, ale i to na nic się nie zdało. Rusin jest uparty, a obaj, Iwan i Wasyl, byli Rusinami.

Wreszcie Iwan, aby przecież skłonić Wasyla do zrobienia miejsca, rzecze doń:

— Ustąpże Wasylu!... Ja jadę z panem sędzią!...

Pewny był, że to na tamtego podziała, boć przecież pan sędzia to gruba ryba, może człowieka zamknąć do kryminału, a nawet kazać powiesić.

Ale Wasyl był i na to nieczuły. Widocznie nie imponowała mu nawet taka osoba. Odchylił się nawet nieco na bok, wskazał batem na popa i rzekł pewny siebie:

— No!... A to co?... G....?!...

⊙ ⊙

Nieznośny bęben.

Jaś (czytając gazetę): W kościele Karmelitów pobłogosławiony został związek małżeński pana Jana Dmuchalskiego z Genowefą Gwizdalską. I znów połączyły się węzłem małżeńskim dwa stare rody mieszczańskie... (przerywając czytanie) Tatusiu!... A jak wygląda taki węzeł małżeński?

Ojciec (z gniewem): Daj mi święty spokój! Jak będziesz starszy, to się dowiesz!

⊙ ⊙

Myśl kokotki.

— Mężczyzna, dopóki ma palce i język, nie jest dla nas jeszcze stracony!...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Droga Redakcyo!

Zdaje się niejednemu i mnie samemu też się tak wydawało, że, być ministrem, to nie wielka sztuka, że wystarczy podpisać się parę razy na kawałkach urzędowych, o ile się naturalnie jest piśmiennym, od czasu do czasu pójść na posiedzenie rady gabinetowej, a poza tem można nic nie robić, jak, nieprzymierzając niejeden z urzędników krakowskiego magistratu.

Tak jak ongi powiedział o sobie pewien starożytny filozof: „To wiem, iż nic nie wiem!"..., tak znów ci panowie mogą śmiało powiedzieć: „To robię iż nic nie robię!..., bo w samej rzeczy próżniactwo jest ich głównem zajęciem. I dziś, gdy uchwalono ośmiogodzinny czas pracy, będą mieć jeszcze więcej pola do popisu.

Ale nie lepsi są od nich ich warszawscy koledzy, zwłaszcza w ministerstwach i to wszystko jedno, na wyższych czy na niższych stanowiskach. Pod tym względem panuje prawdziwa równość i wolność.

Minister natomiast i to tak seryo pojmujący swoje obowiązki, jak, nie chwaląc się, ja, niema poprostu chwili czasu, aby sobie wypoczął, interesenci prześladują go bowiem na każdym kroku i w dzień i w nocy. Nie ma spokoju nawet tam, gdzie się każdy zwykle sam znajduje, a nawet król udaje się tamże bez zwykłego swego towarzystwa. Co najwyżej towarzyszy mu tam dwu szambelanów: jeden z kluczem, drugi z arkuszem bibuły i radca cesarski, aby miał kto radzić, gdy tego zajdzie potrzeba.

Doszło do tego, że kładąc się spać, zagląda najpierw pod łóżko, żeby się przekonać, czy tam na mnie nie oczekuje jaki petent.

A czego ci ludzie nie żądają od człowieka!... Ten stara się o posadę dla siebie, dla krewniaka lub pupilki, ów o dostawę rządową, tamten radby przedstawić projekty, które, jego zdaniem, mają jedynie kraj uszczęśliwić, trzeci żąda subwencyi na puszczenie w ruch epokowego wynalazku, mającego ochronić ziemię od zderzenia z inną planetą i tak dalej i tak dalej... A ty słuchaj i obiecuj, bo, jeśli tego nie uczynisz, powiedzą ci bodaj w duchu: „Do bani z takim ministrem!..."

Niedawno zgłosił się u mnie pewien obywatel z Galicyi z zażaleniem na swego poborcę podatkowego i prosił o protekcyę u ministra skarbu, aby go jak najrychlej przeniesiono, gdyż w przeciwnym razie nie ręczy za skutki.

A powód owej nienawiści do Bogu ducha winnego człowieka, na oko może mało znaczny, a jednak mogący mieć nieobliczalne następstwa.

— Niech sobie pan minister wyobrazi — mówił do mnie po bardzo kwiecistym wstępie — gramy u proboszcza na imieninach w preferansa. Proboszcz zapowiada mizerkę, ja czuję, że musi wpaść i kontruję, proboszcz daje „re"... A był łapany! Jak Boga kocham!... Ale bałwan poborca, który był na ręce, tak głupio podszedł, że tamtemu udało się zrzucić z pików, a ja przegrałem kontrę i „re"!... O pieniądze mi nie chodzi, ale o zasadę!... Jeśli on tak ściąga podatki, jak gra w preferansa, to padam do nóg!... Państwo skrepiruje prędzej, niż się kto spodziewa!... I dlatego umyślnie przyjechałem do Warszawy, aby tę rzecz przedstawić, gdzie potrzeba i zagrozić, że jeśli go stamtąd nie zabierzecie, przestanę płacić podatki i nie dostarczę kontyngentu zboża!... Jak mi Bóg miły!... A tak, jak ja, zrobi wielu mych sąsiadów!... Macie więc wóz i przewóz! Do pana się zwróciłem, bo mam do pana zaufanie!...

Podziękowałem i obiecałem pomówić o tem z ministrem skarbu, który sam grywa czasem w preferansa, wie więc najlepiej, co to znaczy fałszywe podejście przy mizerce z kontrą, choćby nawet bez „re".

Innym znów razem zgłasza się u mnie jakaś stara panna, chuda jak szczypa, z głosem, przypominającym skrobanie rondla tępym nożem i prosi znów o protekcyę do ministra kultury, aby mogła kształcić się w śpiewie, gdyż czuje w sobie iskrę Bożą i powołanie na artystkę operową.

— Mam przeczucie, panie ministrze — zrobiła do mnie słodkie oko — że ja stanę się sławną... A czyja to będzie po części zasługa, gdy jak gwiazda pierwszej klasy zajaśnieję?... Pańska, panie ministrze, gdyż mi dopomógłeś do osiągnięcia szczytu mych marzeń... Przejdzie pan do historyi!...

— O pani!... — rzekłem, a w duchu pomyślałem sobie, że ona raczej nadałaby się ze swym głosem do straszenia myszy i szczurów...

— Podniosę zresztą... — i zrobiła jakiś dziwny ruch ręką.

— O fe!... Niech pani nie podnosi! — rzekłem. — Może kto wejść i skandal gotów!...

— Niech się pan nie obawia!... Podnoszę okoliczności...

— Bardzo przepraszam! O ile wiem, to okoliczności można raczej spuszczać, a nie podnosić!...

I tak ciągle!... Jak nie jeden to drugi, jak nie drugi to trzeci, piąty i piętnasty, a najbardziej natrętne są niewiasty.

Onegdaj odwiedziła mnie jedna, z zawodu nauczycielka i zaczęła mi wiercić dziurę w brzuchu.

Aby jej dać do poznania, że mam dość jej gadania, patrzę na zegarek i robię uwagę:

Pani daruje, ale z polecenia lekarza muszę się wcześnie udać na spoczynek!

— To ja mogę panu towarzyszyć — ona na to. — Będziemy tam mieli dość czasu do omówienia sprawy... A mam panu wiele jeszcze do powiedzenia!

Gdyby była młoda i ładna, może zgodziłbym się na propozycyę, że jednak tak nie było, podziękowałem jej za propozycyę...

A ile kłopotu mam z kolegami ministrami!... Niech się tylko pokażę w Radzie ministrów, pan Paderewski pyta:

— Panie Klapa!... A co tam z większością w sejmie?... Pan jest od dobrego humoru, a ja mogę mieć dobry humor dopiero, gdy będzie większość!

Pan Biliński znów:

— Panie kolego! A jak się pan zapatruje na regulacyę waluty?... Czy pan jest za unifikacyą?...

Minister zdrowia przerywa tymczasem:

— Co tam waluta!... Zdrowie to grunt!... Dobry humor jest podstawą zdrowia, zrób pan więc, aby ludzie mieli dobry humor!

Ja mu zaś na to.

— Nie do mnie z tem, panie łaskawy, ale najpierw do ministra aprowizacyi, a potem od kultury i sztuki. Pan aprowizator niech da jeść i węgli na opał, a pan kulturnik niech potem wyda jakie rozporządzenie w guście tego wierzbowego, a naród będzie miał frajdę...

Bodaj w Sejmie dają mi spokój. Tam zastępuje mnie ks. Okoń i pan Dąbal.

Czuję przecież, że się przeliczyłem, bo to ponad moje siły, lubo czuję w sobie energię, równającą się, co najmniej czterdziestu HP... Ze względu zatem na me cenne zdrowie, aby się nie zepsuło, o ile koniec świata nie rozwiąże zupełnie gabinetu obecnego, mam zamiar przy najbliższej rekonstrukcyi albo zamienić się z kim na portfel, albo też przejść w stan spoczynku.

Mam już dość tego wszystkiego i słusznie należy mi się wypoczynek, ale z emeryturą.

Do świąt powinno nastąpić rozwiązanie, może zatem już w noworocznym numerze stanę przed P. T. Czytelnikami w zupełnie innej skórze, co mi przecież nie przeszkadza, bym dziś już nie złożył wszem wobec i każdemu z osobna życzeń „Wesołych Świąt!"

Klapa
jeszcze minister.



Rendes-vous.

Jak lew wieczór z kniei
Wyszedł na podboje
I spotkał facetkę
(Znali się oboje).

Kiwnął kapeluszem,
Ręką i tam dalej
— Jak się masz? — zawołał
(Bo się już tykali).

Potem objął kibić
Znajomej panienki,
(Rzeczywiście było
Ująć co do ręki).

I do gabinetu
Poszli... Jak myślicie?
Czy oboje młodzi
Są przy aptycie?

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Wy, artystki cyrkowe, jesteście złemi kobietami!...

— Nie wszystkie mój drogi!... Ja dla kochanka jestem gotowa zdjąć ostatnią swą koszulę!...